

Poul Anderson

Pan Tysiąca Słońc

(Lord of a Thousand Suns)

Planet Stories, September 1951

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu zaczerpnięto z Internet Archive.

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Lord of a Thousand Suns" by Poul Anderson, included in magazine "Planet Stories", Volume 5, Number 2, September 1951, published in Internet Archives by Gerard Arthus, 2010-01-06, url:

http://archive.org/details/Planet_Stories_Volume_5_Number_2_, under Creative Commons license: Public Domain,

<http://creativecommons.org/licenses/publicdomain/>

According to the included copyright notice:

"Planet Stories Volume 5, Number 2, September 1951. Published by Love Romances Publishing Company, Incorporated; 1658 Summer Street, Stamford, Connecticut. Dimensions are 6 1/2" width by 9 1/2" Height and 133grams, 116 pages. Copyright was issued in 1951, but no renewal was recorded, this work is Public Domain under Rule 6 of the Copyright Statutes of the United States. Etext created by Gerard Arthus."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Istota bez własnej planety, milionletni Daryesh! Niegdyś Pan Tysiąca Słońc, obecnie skazany na przemierzanie kosmicznych ścieżek, w obcej formie, szukający miłości, życia i wielkiego zaginionego ludu Vwyrdda.

– **T**ak, gdzieś w Galaktyce, znajdziesz niemal wszystko co człowiek był w stanie wymyślić – powiedziałem. – Jest tak diabelnie dużo planet o takiej fantastycznej liczbie różnorodnych warunków na ich powierzchni. Tyle rodzajów żywych stworzeń ewoluujących, aby się do nich dostosować, jak również istot inteligentnych i cywilizacji pojawiających w ramach tego życia. Byłem przecież na planetach, na których żyły ziejące ogniem smoki. Byłem na planetach gdzie krasnoludy walczyły ze stworzeniami, które spokojnie mogłyby uchodzić za gobliny, wykorzystywane przez nasze matki do tego by nas nimi straszyć. Byłem na planetach zamieszkałych przez rasy czarownic -- wiesz, tych istot wykorzystujących telepatyczną pseudohipnozę. Och, mógłbym się założyć, że nie istnieje taka, niegdyś opowiadana legenda lub bajka, dla której gdzieś we wszechświecie nie znalazłoby się jakiegoś rodzaju odpowiednika.

Laird skinął potwierdzająco głową.

– Acha – zawtórował, tym swoim dziwnie powolnym i łagodnym głosem. – Kiedyś przydarzyło mi się wypuścić dzina z butelki.

– Tak? I co się stało?

– Zabił mnie.

Otworzyłem już usta, żeby się roześmiać, ale w ostatniej chwili spojrzałem na niego po raz drugi i zamknąłem je z powrotem. Wypowiadając te słowa, był odrobinę za bardzo poważny. Jego twarz nie stanowiła może niewzruszonej maski, w takim sensie w jakim może ją mieć dobry aktor, kiedy strzeli jakąś niebywałą gafę. Nie, spoza oczu nagle wyjrzała mu niedola, mieszająca się z zimnym, potępieńczym humorem.

Nie znałem Lairda specjalnie dobrze. Nikt nie znał. Większość czasu spędzał w kosmosie, na misjach Inspekcji Galaktycznej, buszując po niesamowitych planetach, które nigdy nie były przeznaczone do oglądania przez ludzkie oczy. Wracał do Układu Słonecznego znacznie rzadziej i na krótsze wizyty, niż ktokolwiek inny z naszej firmy, i miał znacznie mniej do powiedzenia, na temat tego, co znalazł.

Był ogromnym mężczyzną, sześć i pół stopy wzrostu, miał ciemne, orle rysy twarzy i zaskakująco jasne, zielonoszare oczy. Obecnie dobiegał już do wieku średniego, chociaż nie było tego widać, poza skrońmi. Odnosił się do wszystkich raczej grzecznie, chociaż był nieco małomówny i nieskory do śmiechu. Starzy przyjaciele, którzy znali go trzydzieści lat

temu, kiedy był najbardziej energicznym i lekkomyślnym oficerem Marynarki Solarnej, sądzili, że coś podczas Buntu, zmieniło go bardziej niż, którykolwiek z psychologów mógłby uznać za możliwe. On sam jednak nigdy nic na ten temat nie wspominał, po prostu zaraz po wojnie zrezygnował ze swojej kariery wojskowej i przeszedł do Inspekcji.

Siedzieliśmy sami w kącie lokalu. Księżycowy oddział Klubu Odkrywców, miał swój budynek poza główną kopułą Selene Center, tak więc usiedliśmy sobie tuż przy jednym z wielkich okien, popijaliśmy centauriańskie koktajle, oddając się nieuniknionej w takiej sytuacji pogawędce na interesujące nas wspólnie tematy. Nawet Laird wyraźnie się nią cieszył, chociaż podejrzewałem, że bardziej dla informacji jakie mógł dzięki niej pozyskać, niż z powodu jakiegoś usilnego pożądanego towarzystwa.

Za nami długie, ciche pomieszczenie, było niemal puste. Przed nami, za oknem rozpościerała się surowa wspaniałość księżycowego krajobrazu, ostre granie i klify opadających w dół ścian krateru, ku pożłobionym czarnym równinom, skąpanym w widmowym błękitnym świetle Ziemi. Ponad nami płonął kosmos, mieszanina całkowitej czerni i milionów iskier zimnych płomieni.

– Czy mógłbyś to jeszcze raz powtórzyć? – powiedziałem.

Roześmiał się, bez specjalnej wesołości.

– Właściwie, to mogę ci o tym nawet opowiedzieć – stwierdził z ponurym humorem. – I tak mi nie uwierzysz, a gdyby nawet, nie ma to większego znaczenia. Czasami opowiadam tę historię -- alkohol powoduje, że nabieram na to ochoty -- zaczynam dzięki temu wspominać stare czasy...

Rozparł się jeszcze wygodniej w swoim fotelu.

– Być może to nie był prawdziwy dzin – mówił dalej. – Chyba bardziej coś w rodzaju ducha. To w ogóle była nawiedzona planeta. Oni żyli milion lat wcześniej, zanim na Ziemi powstał człowiek. Rozprzestrzenili się pomiędzy gwiazdami i wiedzieli o rzeczach, o których nasza współczesna cywilizacja jeszcze nawet nie pomyślała. A potem wymarli. Ich własna broń zmiotła ich z kart historii, w jednym rozbłysku ognia, tak że pozostały po nich tylko zniszczone resztki ruin -- ruiny, pustynie i duch który leżał w butelce i czekał.

Machnąłem na kelnera, zamawiając następną kolejkę drinków, myśląc nad tym o czym mówił, zastanawiając się, po prostu, w jakim stopniu ten wielki mężczyzna, o zniszczonej, kanciastej twarzy, pozostawał przy zdrowych zmysłach. A jednak -- nigdy nie wiadomo. Tam, poza zasłoną gwiazd, widziałem takie rzeczy, o jakich nie śniło się wam nawet w waszych najbardziej szalonych snach. Widziałem ludzi, sprowadzanych do domu, którzy mieli kompletnie puste oczy i coś tylko mamrotali bełkotliwie pod nosem. Którym zimna pustka kosmosu wypełniła mózgi, w miejscach gdzie załamały się cienkie, napięte ściany rozumu. Mówi się, że ludzie

kosmosu, są łatwowiernym narodem. Niebios wiedzą, że oni nie mogą być inni!

– Chyba nie miałeś na myśli Nowego Egiptu? – spytałem go.

– Co za głupia nazwa. Tylko dlatego, że znaleźliśmy tam resztki wielkiej wymarłej kultury, musieli ich nazwać po jakiejś nieznaczącej dolinie efemerycznych fellachów. Powiem ci, ludzie z cywilizacji Vwyrdda, byli jak bogowie, a kiedy zostali zniszczeni, całe słońca pociemniały z powodu mocy które zostały użyte. Przecież, w ciągu jednego dnia, oni wybili ziemskie dinozaury, miliony lat temu, wykorzystując do tego tylko jeden statek.

– Jak u diabła się tego dowiedziałeś? Nic nie słyszałem o tym, żeby archeolodzy odcyfrowali ich zapisy.

– Wszystko, czego nasi archeolodzy kiedykolwiek się dowiedzą to, że Vwyrddanie byli rasą o niesamowicie humanoidalnym wyglądzie, stworzyli wysoce zaawansowaną międzygwiazdą cywilizację, zmiecioną całkowicie z powierzchni około miliona ziemskich lat temu. Prawdę mówiąc, to ja tak do końca nie wiem, że to właśnie oni wykonali tę akcję na Ziemi, ale wiem że prowadzili regularną politykę eksterminacji wielkich gadów na planetach typu ziemskiego, z uwagi na ich ewentualną późniejszą kolonizację. Wiem również, że dotarli tak daleko, tak więc przypuszczam, że i naszej planecie zaaplikowano podobną terapię. – Laird odebrał przeznaczonego dla niego nowego drinka i uniósł szklankę w moją stronę. – Dzięki. Ale teraz bądź dobrym kumplem i pozwól mi snuć moje bajdy, na mój własny sposób.

– To było -- pozwól, że chwilę pomyślę -- już trzydzieści trzy lata temu, kiedy byłem błyskotliwym młodym porucznikiem, z błyskotliwymi młodymi pomysłami. Bunt był wtedy w pełni rozkwitu i jak wiesz, Janyardsi mieli w ręku cały tamten region kosmosu, od drogi Strzelca. W tych czasach sprawy wyglądały źle dla Sol... Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek właściwie doceniono, jak blisko byliśmy wtedy klęski. Już mieli właśnie przebić się swoimi flotami bojowymi przez nasze linie obronne, przełamać nasze granice i uderzyć na samą Ziemię, piekielnym deszczem broni, które wysterylizowały wcześniej całe mnóstwo planet. Walczyliśmy w defensywie, rozciągnięci na kilka milionów sześciennych lat świetlnych, rozproszeni i straszliwie ciency. Było naprawdę niedobrze!

– Vwyrdda... Nowy Egipt... została odkryta, a nawet rozpoczęto na niej jakieś wykopaliska, tuż przed rozpoczęciem wojny. Wiedzieliśmy o niej już mniej więcej tyle samo, ile wiemy dzisiaj. A w szczególności, wiedzieliśmy, że w tak zwanej Dolinie Bogów, można znaleźć więcej starożytnych reliktyw, niż w jakimkolwiek innym miejscu na powierzchni planety. Byłem dosyć mocno zainteresowany tymi pracami, osobiście odwiedziłem tę planetę, a nawet pracowałem z zespołem, który znalazł i odrestaurował ten generator grawimetryczny. Ten dzięki któremu dowiedzieliśmy się połowy tego co wiemy, o polach g-m.

– Miałem wtedy młode i pełne fantazji koncepcje, że gdzieś tam, może być coś więcej do znalezienia. Szukając w samym labiryncie, czy też dzięki badaniom raportów. Myślałem nawet, że mniej więcej wiem co i gdzie

mogłoby być. Jeden z rodzajów broni, który zmieniał słońca w nowe, miliony lat temu...

– Planeta znajdowała się daleko poza liniami Janyardów, ale pod względem militarnym, pozbawiona była znaczenia. Nie zostawili więc na niej garnizonu, a ja byłem pewny, że ci na wpół barbarzyńcy, nigdy nie wpadną na moje pomysły, szczególnie że ich zwycięstwo, wydawało się takie bliskie. Jednoosobowa, zamaskowana łódź zwiadowcza, mogłaby dosyć łatwo się na nią przedostać. Blokada całego regionu kosmosu, jest po prostu fizyczną niemożliwością, to za dużo cholernej nieludzkiej przestrzeni. Nie mieliśmy nic do stracenia, poza moją osobą, a być może bardzo wiele do zyskania. Tak więc, poleciałem.

– Bez większych problemów dotarłem na planetę, wylądowałem w Dolinie Bogów i zabrałem się do roboty. I w ten właśnie sposób rozpoczęła się cała zabawa.

Laird ponownie się roześmiał, ale z nie większą dozą humoru, niż poprzednio.

Księżyc wisiał nisko nad wzgórzami, wielka pokryta bliznami tarcza, o trzykrotnej wielkości Ziemi, a jego zimna biała poświata, wypełniała całą dolinę bezbarwnymi plamami światła i długimi cieniami. W górze płonęło niewiarygodnie piękne niebo, charakterystyczne dla regionów Strzelca. Tysiące tysięcy olbrzymich gorejących gwiazd, rojących się wręcz w różnych układach, liniach, skupiskach i konstelacjach, dla ludzkiego oka wyglądających obco i dziwnie. Migotały i pomrukiwały w rzadkiej, zimnej atmosferze planety. Było tak jasno, że Laird bez trudu mógł dostrzec linie papilarne na swojej skórze, pętle i spirale na otępiałych z zimna palcach, przez dłuższy czas przesuwających się po omacku po ścianach piramidy. Zadrżał na wietrze, który przewiał go na wylot. Pełen pyłu podmuch, suchy szeleszczący szept, przenikający pod ubranie, aby omieść jego ciało zimnem. Oddech wisiał przed nim, upiornym białym obłokiem. Kiedy nabierał w płuca lodowatego powietrza, wydawało się mu jakby było ono płynem.

Dookoła niego wznosiły się resztki czegoś, co kiedyś bez wątpienia musiało być miastem. Obecnie zredukowane ono zostało do paru kolumn i kilku pokruszonych ścian, wyniesionych do góry, przez potoki lawy, niegdyś spływające w dół zbocza. W nierealnym złudnym świetle księżyca, kamienie i głazy wyrastały wysoko w górę, zdając się niemal poruszać, razem z cieniami i omiatającym je niesionym przez wiatr piaskiem. Miasto duchów. Planeta widm. Ostatnią istotą żywą, która poruszała się po jej pociemniałej powierzchni, był on sam.

Ale daleko ponad tą powierzchnią...

Co to mogło być, ten opadający pomruk, gdzieś wysoko w powietrzu, pędzący coraz bliżej z królestwa gwiazd, księżyca i wiatru? Parę minut temu, w głębinach czeluści piramidy, wskazówka jego detektora grawimagnetycznego wyraźnie zadrżała. Natychmiast pośpieszył na górę i

teraz stał, wypatrując uważnie i nasłuchując, czując jak serce zaciska się w sztywny sopel.

Nie, nie, nie... tylko nie janyardzki statek, nie teraz... Gdyby to oni przylecieli, byłby to koniec wszystkiego.

Laird zaklął pod nosem z pozbawioną nadziei furją. Wiatr porwał jego mamrotanie i poniósł je razem z lecącym piaskiem, pogrzebał je pod wieczną ciszą doliny. Wzrok mężczyzny powędrował w kierunku jego łodzi zwiadowczej. Na tle wielkiej piramidy była zupełnie niewidoczna – podjął odpowiednie środki ostrożności, usypując nad nią niewielki kopiec piasku – ale jeżeli używali detektorów metalu, jego wysiłki były bezwartościowe. Był co prawda szybki, tak, ale prawie nieuzbrojony. Łatwo mogli pójść jego śladem przez labirynt, i znaleźć skarbiec.

Boże, jeżeli to on ich tutaj sprowadził... jeżeli wszystkie jego plany i starania spowodują tylko zdobycie przez nieprzyjaciela broni, która będzie mogła zniszczyć Ziemię...

Dłoń Lairda zacisnęła się na rękojeści blastera. Głupia broń, zwykła pukawka... Co można zrobić przy jej pomocy?

Podjął decyzję. Z przekleństwem, obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do wnętrza piramidy.

Jego latarka przyćmionym, rozhuśtanym kręgiem blasku, rozświeślała niekończące się, prowadzące na dół chodniki, a ponad nim, za nim i po bokach przemykały cienie milionów lat, zbiegające się wokół niego, tak jakby chciały go pochwycić. Buty waliły o kamienną podłogę, łup... łup... łup... echa podchwyciły rytm i przetaczały go z hukiem gdzieś do przodu. Narastał w nim pierwotny strach, zalewający początkową konsternację. Biegł coraz dalej, w głąb grobowca tysięcy millenniów, grobowca bogów, a wszystkie zasoby sił oraz energii kierował na to aby biec i biec, nie oglądać się za siebie. Nie ośmielał się odwrócić głowy do tyłu.

W dół, w dół i w dół, krętym, poplątanym tunelem, coraz niżej tą rampą, tym zejściem w głąb trzewi planety. Człowiek mógłby się tam zgubić z kretesem. Człowiek mógłby wędrować w tym zimnie i w ciemnościach, otoczony echami, aż w końcu padłby martwy na podłogę. Znalezienie drogi do wielkiego skarbcza zajęło mu całe tygodnie, i jedynie wskazówki zawarte w raportach Murchisona spowodowały, że to w ogóle było możliwe. Teraz...

Wpadł do wąskiego przedpokoju. Skoczył jak burza w olbrzymie drzwi, których skrzydła z szaleńczym rozpędem otworzyły się na studnię nocy. Wierzeje miały pełne pięćdziesiąt stóp wysokości. Przebiegł przez nie jak mrówka i znalazł się w magazynie piramidy.

Światło latarki Lairda odbiło się od zbudowanych z metalu, szkła i innych materiałów, których nawet nie potrafił rozpoznać, maszyn. Czekają tutaj w zamknięciu przez miliony lat, dopóki nie przybył, aby je obudzić. Nadal nie potrafił nawet powiedzieć, do czego miały one służyć. Na razie podłączał zasilanie do wybranych jednostek, tak że zaczynały one brzęczeć, ale nie ośmielił się wykonać odważniejszych eksperymentów.

Jego pomysł polegał na znalezieniu jednostki antygravitacyjnej, która umożliwiłaby mu zaholowanie całej tej masy do łodzi. Kiedy znajdzie się już z powrotem w domu, pałeczkę przejmą od niego naukowcy. Ale teraz...

Obnażył zęby w wilczym uśmiechu i włączył wielką lampę, którą wcześniej zainstalował w tym pomieszczeniu. Białe światło zalało grobowiec, odbijając się ciemnym blaskiem od monstrualnej masy różnych rzeczy, których nie potrafił użyć, świadectwa mądrości i umiejętności technicznych rasy, która rozprzestrzeniła się między gwiazdami, potrafiła poruszać planety i przetrwała przez pięćdziesiąt milionów lat. Być może, zanim wróg dotrze do tego miejsca, uda mu się jakoś wymyślić, jak z czegoś skorzystać. Być może zdoła zmiażdżyć ich jednym demonicznym ciosem -- dokładnie jak bohaterowie stereofilmów, zadrwił jego umysł -- albo może będzie w stanie chociaż zniszczyć to wszystko, żeby nie wpadło w łapy Janyardów.

Powinien jakoś się zabezpieczyć przed taką sytuacją. Powinien zainstalować bombę, żeby wysadzić w diabli całą tę piramidę...

Z największym wysiłkiem powstrzymał szaleńczą galopadę swoich myśli i rozejrzał się dookoła. Na ścianach znajdowały się freski, pociemniałe i niewyraźne z powodu upływu czasu, ale ciągle czytelne dla oka, piktogramy przeznaczone być może dla ludzi, którzy w końcu odnajdą ten skarb. Widoczni na nich byli mieszkańcy Nowego Egiptu, z trudem rozróżnialni od ludzi z Ziemi... Mieli ciemną skórę i włosy, ostre rysy twarzy. Byli wysocy i dumni, ubrani w szaty z żywego światła. Jego specjalną uwagę zwrócił jeden z obrazów. Pokazywał on serię scen, jak na pasku komiksu, z dawnych czasów -- człowieka podnoszącego do góry jakiś szklisty przedmiot, mocującego go sobie na głowie, naciskającego mały przełącznik. Lairda kusiło, żeby go wypróbować, ale... bogowie, jakie mogło być działanie tego urządzenia?

Znalazł pokazany na obrazku hełm i ostrożnie założył go sobie na głowę. Mogło to być dla niego coś w rodzaju ostatniej szansy. Hełm był zimny, gładki i twardy, opadł mu na głowę z powolną masywnością, która była jakaś dziwnie... żywa. Wzdrygnął się i wrócił z powrotem do innych maszyn.

Ten przedmiot z długą, otoczoną uzwojeniami lufą... Jakiegoś typu projektor energii? Tylko w jaki sposób można go uruchomić? Niech to diabli, z której strony jest wylot? Do jego uszu doleciał słabutki odgłos tupotu kroków, kierujących się w dół, niekończącymi się, krętymi korytarzami, coraz bliżej. Bogowie, zajęczał jego umysł. Naprawdę nie tracili ani chwili, co nie?

Ale przecież wcale nie musieli... wykrywacz metalu pozwolił im na zlokalizowanie jego łodzi, co z kolei powiedziało im, że znajdował się raczej w tej piramidzie, niż w którejś z kilkunastu innych, porzucanych po całej dolinie. A wykrywacze energii, powinny bez trudu wykryć go, tutaj, na dole...

Wyłączył światło i przycupnął za jedną z maszyn. Ciężar blastera przyciskał mu dłoń.

Spoza drzwi dobiegło go wywołanie:

- To nie ma sensu, Solmanie! Wychodź tutaj!

Rzucił jakąś odpowiedź i czekał na to, co się stanie.

Po chwili piosnkę podjął kobiecy głos. To całkiem niezły głos, pomyślał bez związku, niski i dobrze modulowany, a do tego brzmiał w nim ten cień żelaza. Ci Janyardowie, to twardzi ludzie. Nawet ich kobiety dowodziły oddziałami wojska, pilotowały statki i zabijały ludzi.

– Równie dobrze możesz poddać się od razu, Solmanie. Jedyne co ci się udało, to wykonać sporą część roboty dla nas. Podejrzewaliśmy, że możecie podjąć taką próbę. Ponieważ nie mieliśmy dostępu do rejestrów archeologicznych, sami nie mogliśmy mieć nadziei na odniesienie tak znacznego sukcesu, ale kiedy mój oddział zajął stanowiska przy jednej z pobliskich gwiazd, umieściłam na orbicie tej planety łódź, z detektorami ustawionymi na pełną moc. Wykryliśmy twoje lądowanie i pozwoliliśmy ci pracować, a teraz przylecieliśmy żeby zabrać to, co znalazłeś.

– Cofnijcie się! – desperacko zablefował. – Podłożyłem tutaj bombę. Cofnijcie się, albo ją odpalę!

Śmiech był przepełniony lekceważeniem:

– Myślisz, że nie wiedzielibyśmy, gdybyś ją miał? Nie masz na sobie nawet skafandra kosmicznego. Wychodź z łapami uniesionymi do góry, albo wypełnimy cały ten skarbiec gazem!

Zęby Lairda rozbłysły w rozwścieczonym uśmiechu.

– No dobrze – krzyknął, jedynie na wpół świadomy tego co mówi. – No dobrze, sami się o to prosiliście!

Przerzucił przełącznik na swoim hełmie.

To było jak wybuch ognia w samym środku mózgu, bezdźwięczny ryk rozsadzającej głowę ciemności. Krzyknął, na wpół oszalały od zalewającej jego jestestwo furii, czując ohydne drgania przebiegające wzdłuż każdego nerwu i ścięgna, czując że jego mięśnie załamują się, a ciało uderza o podłogę. Cienie zamknęły się wokół niego, rycząc i przetaczając się dookoła, noc, śmierć i zagłada wszechświata, oraz przebijający się przez to wszystko co słyszał -- śmiech.

Leżał rozciągnięty za maszyną, skręcając się i łkając. Musieli go usłyszeć, tam w tych tunelach na zewnątrz, ponieważ weszli do środka, powoli i ostrożnie, stanęli nad nim, obserwując jego spazmatyczne drgawki, czekając aż znieruchomieje.

Wszyscy byli wysocy i dobrze zbudowani, ci buntownicy z Janyard -- Ziemia do kolonizacji planet Strzelca, trzysta lat temu, wysłała swoich najlepszych ludzi. Ale długa, okrutna walka, podbijanie, budowanie i adaptowanie się do planet, które nie były i nigdy nie będą mogły stać się Ziemią, zmieniła ich, utwardziła ich na metal i zamroziła coś w ich duszach.

Pozornie spór dotyczył taryf i praw handlowych, co doprowadziło do ich buntu przeciwko Imperium. A tak naprawdę chodziło o to, że była to nowa cywilizacja zaciekle czepiająca się życia, twór zrodzony z ognia, samotności i wielkich pustych przestrzeni pomiędzy gwiazdami, barbarzyński bunt odmienionych dzieci. Stali niewzruszeni, obserwując

jego ciało, dopóki nie znieruchomiło na podłodze. Wtedy jeden z nich zrobił krok do przodu i zdjął mu z głowy lśniący, szklisty hełm.

– Pewnie myślał, że będzie mógł tego użyć przeciwko nam – stwierdził Janyard, obracając hełm w dłoniach. – Ale nie było to przystosowane do istot żywych jego rodzaju. Ci tutejsi starzy mieszkańcy, wyglądali jak ludzie, ale nie wydaje mi się, żeby to podobieństwo sięgało choćby odrobinę poniżej poziomu ich skóry.

Dowodząca nimi kobieta opuściła głowę, z odrobiną żalu.

– Był odważnym człowiekiem – powiedziała.

– Proszę poczekać... on wciąż żyje, ma'am... właśnie siada.

Daryesh zmusił trzęsące się ciało do podniesienia się na kolana. Wyczuwał że jest chore, jego słabość i chłód w gardle, nerwach i mięśniach, czuł wzbierający strach i pilny nakaz w mózgu. Ci tutaj byli wrogami. Tutaj stała śmierć dla planety i cywilizacji. Najmocniej jednak odbierał straszliwe otępienie systemu nerwowego. Czuł się głuchy i ślepy, odcięty w swoim więzieniu z kości, z którego mógł wyglądać na zewnątrz jedynie za pośrednictwem, pięciu słabych zmysłów...

On, Vwyrdda, Vwyrdda był więźniem w mózgu nie posiadającym telepatycznego mechanizmu nadawczo-odbiorczego. Był duchem, który reinkarnował w coś, co było na wpół trupem!

Silne ręce pomogły mu podnieść się na nogi.

– Ta próba, była naprawdę bardzo głupim posunięciem – odezwał się chłodny głos kobiety.

Daryesh poczuł jak z powrotem wracają mu siły, w miarę jak system nerwowy, mięśniowy, hormonalny znajdują nową równowagę, w miarę jak jego umysł przejmuje coraz większą kontrolę i spycha gdzieś w głębiny bełkocące szaleństwo, kiedyś będące Lairdem. Wciągnął roztrzęsiony oddech. Powietrze w nozdrzach po... jak długim czasie? Jak długo był martwy?

Jego oczy skupiły się na kobiecie. Była wysoka i efektowna. Spod czaszki z daszkiem spływały lekko rudawe włosy, szeroko rozstawione niebieskie oczy spoglądały na niego szczerym wzrokiem, z twarzy o czystych rysach, silnych krzywiznach i świeżych barwach młodości. Przez moment pomyślał o Ilornie i wezbrała w nim dawna tęsknota -- potem jednak zduślił ją, popatrzył ponownie na kobietę i uśmiechnął się do niej.

To był beczelny, szeroki uśmiech, tak więc gniewnie zeszytniała.

– Kim jesteś, Solmanie? – spytała go.

Znaczenie tego pytania było wystarczająco jasne dla Daryesha, który posiadał wzorce pamięciowe i nawyki lingwistyczne swojego... gospodarza, jak również te należące do Vwyrdda. Odpowiedział więc pewnym głosem:

– Porucznik John Laird z Imperialnej Marynarki Solarnej, do pani usług. A pani, jak się nazywa?

– Bezczelnością przechodzisz samego siebie – odpowiedziała mu z lodem w głosie. – Ale ponieważ będę chciała przesłuchać cię dokładniej... Jestem kapitan Joana Rostov, z Floty Janyard. Proszę zacząć się stosownie zachowywać.

Daryesh rozejrzał się wokół siebie. To nie wyglądało dobrze. Nie było szans na to, aby mógł teraz dokładnie przejrzeć wspomnienia Lairda, ale

jasne było, że znalazł się w rękach sił zbrojnych wrogów. Dobro i zło w pełnych sporów wiekach, po śmierci wszystkich nazywających siebie Vyrddami, nic dla niego nie znaczyły, ale musiał dowiedzieć się więcej na temat całej tej sytuacji, tak aby mógł zachowywać się w sposób, jaki będzie mu potrzebny. Zwłaszcza, że Laird może wkrótce ożywić się i zacząć mu się opierać.

Znajomy widok maszyn, natychmiast spowodował, że się uspokoił i opadły z niego nerwy. Miał tutaj do dyspozycji moce, przy pomocy których mógł rozbijać całe planety! Ta cywilizacja ich sukcesorów, wyglądała na dosyć barbarzyńską i w razie jakiegoś wypadku, będzie mógł podjąć decyzję o uwolnieniu tego całego piekła. Uniósł głowę w geście nieświadomej arogancji. *To należy do niego!* Ponieważ to on był ostatnim przedstawicielem cywilizacji Vwyrdda, która wytworzyła te maszyny, i to było jego dziedzictwo.

Musiał uciec.

Joana Rostov przyglądała się mu z osobliwą mieszaniną twardej podejrzliwości i na wpół wystraszonego zakłopotania.

– Coś jest z panem nie tak, panie poruczniku – powiedziała w końcu. – Nie zachowuje się pan jak człowiek, którego plany legły właśnie w kompletnych gruzach. Do czego służy ten hełm?

Daryesh wzruszył ramionami.

– Część urządzenia sterującego – odpowiedział jej lekkim tonem. – W całym tym pośpiechu nie udało mi się go poprawnie dostroić. Nieważne. Tutaj jest całe mnóstwo innych maszyn.

– Jak one działają, według pana?

– Och na bardzo różne sposoby. Na przykład to, tam na górze, to dezintegrator nukleoniczny. A to jest generator osłony. Tamto zaś...

– Kłamie pan. Nie może pan o tym wiedzieć niczego więcej, niż my.

– Czy mogę zademonstrować?

– Z pewnością, nie. Proszę natychmiast stamtąd wracać!

Chłodno, Daryesh ocenił odległości. Miał już do dyspozycji całą tę wspaniałą koordynację psychosomatyczną, właściwą dla swojej rasy, rozwiniętą przez trwające miliony lat szkolenie, ale brakowało mu w tym ciele komponentów subkomórkowych. A jednak... musiał podjąć ryzyko.

Odepchnął się, rzucając się ciałem na stojącego obok niego Janyarda. Jedną ręką uderzyła mężczyznę w krtani, druga chwyciła za jego tunikę i rzuciła na człowieka stojącego za nim. W tym samym ruchu, Daryesh przeskoczył nad padającymi na podłogę ciałami, złapał karabin maszynowy, upuszczony przez jednego z nich i walnął ręką we włącznik projektora tarczy magnetycznej, o charakterystycznej, długiej lufie.

W półmroku rozbłysły wystrzały z broni. Pociski eksplodowały na tym fantastycznym polu magnetycznym, deszczem rozprysniętego stopionego metalu. Osłonięty nim Daryesh pomknął przez drzwi, do znajdującego się na zewnątrz tunelu.

Rzucili się za nim już w chwilę później, ale to było długonogie ciało, a on już zaczynał je coraz lepiej wyczuwać. Biegł bez trudu, oddychając przez cały czas w skoordynowany sposób, oszczędzając siły. Nie udało mu się jeszcze przejąć nadrzędnej kontroli nad funkcjami mimowolnymi, ten system nerwowy był na to zbyt odmienny, ale przy obecnym tempie, mógł wytrzymać przez dłuższą chwilę.

Uskoczył w zapamiętany boczny korytarz. Chwilę później, ktoś musiał przedostać się przez pole magnetyczne i jego karabin wypluł za nim deszcz kul. Zachichotał w ciemności. Jeżeli nie mieli mapy każdego zakrętu w tym labiryncie, albo nie mieli detektorów istot żywych, nigdy nie ośmielią się ruszyć jego śladem. Szybko by się zgubili i wędrowali tymi korytarzami aż do głodowej śmierci.

A jednak, ta kobieta potrafiła myśleć. Może się domyślić, że zmierza w kierunku powierzchni i znajdujących się tam łodzi, i spróbować go od nich odciąć. Przecięcie mu drogi byłoby nawet możliwe. Poderwał się więc do dalszego biegu.

To miejsce było samotne, ciemne i puste, zimne z powodu upływu czasu. Powietrze było suche i pełne pyłu, na Vwyrdda musiało pozostać bardzo niewiele wilgoci. Ile mogło upłynąć czasu? Ile mogło upłynąć czasu?

John Laird ruszył z powrotem w kierunku świadomości. Oszołomione neurony wskakiwały w dobrze sobie znane ścieżki synaps, wzorzec tworzący jego osobowość, walczył o to, aby sam siebie odtworzyć. Kiedy zmagający się po omacku mózg wysłał do mięśni losowe polecenie, Daryesh potknął się, zaklął głośno i siłą woli zepchnął drugie ja z powrotem w pustkę. Trzymaj się, Daryesh, trzymaj się, jeszcze tylko parę minut...

Wypadł z małego bocznego wejścia piramidy i stanął pomiędzy skłębionymi ruinami w dolinie. Ostre, rzadkie powietrze ugryzło jego łaknące tlenu płuca, kiedy rozglądał się szaleńczo dookoła, patrząc na piasek, kamienie i obce gwiazdy. Nowe gwiazdozbiory... Boże, naprawdę musiało minąć mnóstwo czasu! Księżyc był wyraźnie większy, niż to pamiętał, zalewając martwy krajobraz zimną srebrną poświatą. Przez te wszystkie niezliczone wieki, musiał stopniowo zbliżać się po spirali do planety.

Łódź! Niech to wszyscy diabli, gdzie jest łódź!

Zobaczył stojący niezbyt daleko janyardzki statek, wysmukłą torpedę, spoczywającą na wydmach, ale on musiał być pilnowany... nie było sensu próbować go ukraść. Gdzie więc jest statek Lairda?

Przekopując się przez kotłowaną obcych wspomnień, przypomniał sobie coś o zakopaniu go po zachodniej stronie... Nie, to nie on to zrobił, tylko Laird. Do diabła, musiał działać szybko. Rzucił się wokół monstrualnej konstrukcji zerodowanej piramidy, znalazł podłużną muldę, na której dostrzegł błysk światła księżyca, w miejscu gdzie wiatr zwiął

piasek z metalowej powierzchni. Ten Laird, to naprawdę niezdarny szczeniak.

Odgarnął piasek z włazu śluzy powietrznej, rozkopując go gołymi rękoma, przy każdym oddechu czując drapanie w gardle i płucach. Teraz, w każdej sekundzie mogli wsiaść mu na kark, w każdej chwili, a przecież teraz musieli już naprawdę uwierzyć, że zrozumiał działanie tych maszyn...

Właz śluzy, zajaśniał przyciemnionym światłem, lodowato zimny przy dotknięciu ręką. Przekręcił uchwyt zewnętrznego zamka, przeklinając z szaleńczą gwałtownością, zupełnie obcą dawnym Vwyrdda. Ale takie były nawyki jego nosiciela, który nie posiadał psychosomatycznego wyszkolenia. Prymitywnego... Właśnie się pojawili!

Daryesh schwycił skradziony karabin i wystrzelił pełną serię do grupy, która wyroliła się właśnie spoza krawędzi piramidy. Skłębili się jak powiązane sznurkiem lalki, krzycząc w śmiertelnie białym świetle księżyca. Kule zaświszczały wokół niego, rykoszetując od kadłuba łodzi.

Kiedy wycofali się, aby dokonać przegrupowania do kolejnej szarży, udało mu się otworzyć właz. Przez moment w świetle księżyca jego zęby rozbłysły w chłodnym uśmiechu Daryesha, wojownika, który za swoich czasów rządził tysiącami słońc i dowodził flotami Vwyrdda.

– Żegnajcie, moje ślicznotki – wymamrotał pod nosem i przypomniane sobie słowa ze starej planety, były miodem dla jego języka.

Zatrzasnął za sobą właz od śluzy i pobiegł do sterówki, pozwalając, aby niemal nieświadome wspomnienia Johna Lairda, doprowadziły go na miejsce. Przeszedł natychmiast do niezdarnego startu -- ale potem już wzbijał się w niebo, wolny i coraz dalej...

Jakby pięść uderzyła go w plecy, przerzucając go, razem z fotelem pilota, w którym siedział, w świat rozdzierającego ryku rozrywanego metalu. O bogowie, Janyardzi strzelili do niego z ciężkiego działła okrętowego, udało im się uzyskać bezpośrednie trafienie w jego silniki i łódź ze świstem zmierzała ponownie w stronę powierzchni planety.

Ponuro ocenił, że początkowy pęd, jaki nabrał, nadał mu całkiem niezłą trajektorię, która sprowadzi go na dół na wzgórzach, znajdujących się mniej więcej sto mil na północ od doliny. Potem jednak będzie musiał uciekać ze wszystkich sił, będą go ścigać swoim statkiem, jak drapieżne zwierzęta -- a Johna Lairda nie można było już dłużej powstrzymać! Jego mięśnie skręcały się, a ścięgna zaciskały, zaś z gardła wydobywało się szaleńcze mamrotanie, podczas gdy usunięta osobowość, walczyła aby odzyskać samą siebie. To była kolejna bitwa, która będzie musiała rozegrać się już wkrótce!

No cóż -- Daryesh wzruszył mentalnie ramionami. W najgorszym razie, będzie musiał poddać się Janyardom, przystępując do ich sprawy. To naprawdę nie było istotne, kto wygra tę idiotyczną małą wojenkę. On miał inne sprawy na głowie.

To był koszmar. John Laird przycupnął w wyżłobionej przez wiatr jaskini i spoglądał na zewnątrz, na oświetlone zimnym światłem

księżycowym wzgórza. Przez oczy obcego, widział jak statek Janyardów ląduje w pobliżu wraku, pozostałego po upadku na powierzchnię jego łodzi. Widział rozbłyśki stali, kiedy Janyardowie wysypali się z okrętu na dwór i rozpoczęli łowy. Łowy na *niego*.

Pytanie tylko, czy ciągle na niego, czy też może nie był już nikim innym, jak tylko więźniem we własnej głowie? Wrócił myślami do wspomnień, które nie były jego wspomnieniami, wspomnień siebie samego, snującego myśli, które wcale nie były jego, uciekającego z rąk wrogów, podczas gdy on, Laird, wirował wtedy gdzieś, w jakiejś głębinie na wpół świadomego szaleństwa. Poza tym, pamiętał swoje własne życie, ale pamiętał również inne życie, które ciągnęło się przez tysiące lat, zanim nie zgasło. Spoglądał na rozciągające się wokół niego pustkowia pełne skał, piasku i niesionego wiatrem pyłu i przypominał sobie, jak ono wyglądało kiedyś, zielone i piękne. Pamiętał również, że nazywa się Daryesh z Tollogh, który rządził całymi układami planetarnymi w Imperium Vwyrdda. Ale jednocześnie był Johnem Lairdem z Ziemi, a przez jego mózg przepływały w tym samym czasie dwa strumienie świadomości, nasłuchując siebie nawzajem, pokrzykując na siebie w ciemnościach wnętrza jego głowy.

Milion lat! Zgroza, samotność i ściskający za serce żal wypełniły umysł Daryesha, spoglądającego na ruiny Vwyrdda. To było milion lat temu!

Kim ty jesteś? Zawołał w myślach Laird. Co mi zrobiłeś? A już w chwili kiedy się o to dopytywał, wspomnienia które obecnie należały także do niego, uformowały się, aby dać mu odpowiedź.

To zbuntowali się Erai. Erai, których ojcowie pochodzili z uczciwych Vwyrdda, ale którzy zostali odmienieni w dziwny sposób, przez wieki wpływu obcego środowiska. Podnieśli bunt przeciwko statycznym rządóm Nieśmiertelnych i w ciągu stulecia wojny, opanowali połowę Imperium i objęli władzę nad zamieszkującą podbite tereny ludnością. Wtedy Nieśmiertelni uwolnili swoje najbardziej przerażające moce, niszczącą słońca broń ostateczną, która przez dziesięć milionów lat spoczywała zakazana w skarbcach Vwyrdda. Tyle że... Erai także o niej wiedzieli. Jak również mieli do niej dostęp.

W końcu, Vwyrdda poszli na dno, ich floty zostały rozbite, a armie zwijały się w odwrocie przez dziesięć tysięcy wypalonych planet. Tryumfujący Erai rwali się wręcz do zniszczenia macierzystej planety, a w potężnych imperialnych arsenałach nie było niczego, co mogłoby ich powstrzymać.

Ich cywilizacja była niestabilna, nie mogła przetrwać tak długo, jak było to w przypadku Vwyrdda. W ciągu dziesięciu tysięcy lat, mniej więcej, odeszli w niebyt, a Galaktyka nawet nie zapamiętała, że taki lud w ogóle istniał. Co było dla nas niewielką pomocą, pomyślał ponuro Laird, uświadamiając sobie z lodowatym wstrząsem, że to była myśl Daryesha.

Ton myśli Vwyrddanina, nagle stał się niemal konwersacyjny, a Laird zdał sobie sprawę z ogromu wyszkolonego wysiłku, jaki musiał zostać podjęty, do przezwyciężenia takiej samotności miliona lat.

– Posłuchaj mnie, Laird, najwidoczniej jesteśmy skazani na zajmowanie tego samego ciała, dopóki jeden z nas nie pozbędzie się tego

drugiego. A to jest ciało, które chcą dostać w swoje łapy Janyardzi. Zamiast walczyć między sobą, co spowodowałoby, że to ciało długimi chwilami pozostawać będzie bezradne, lepiej byłoby, gdybyśmy spróbowali nawiązać jakąś współpracę.

– Ale... Boże... człowieku! Co ty sobie myślisz, kim ja jestem? Czy myślisz, że chcę mieć w swoim umyśle, takiego wampira jak ty?

Odpowiedź była gwałtowna i zimna.

– Co powiedziałeś, Laird? Kim ja niby to jestem? Ja, który byłem Daryeshem z Tollogh, panem tysiąca słońc i kochankiem Ilorny Pięknej, unieśmiertelnionej damy z największego imperium, jakie kiedykolwiek widział Wszechświat... Znalazłem się teraz w pułapce, na wpół wyewoluowanego ciała ściganego obcego, milion lat po śmierci wszystkiego, co było ważne. Powinieneś być szczęśliwy, że w ogóle tutaj jestem, Laird. Wiesz przecież, że potrafię obsługiwać tę broń.

Oczy spoglądały poza kryjówkę, na ponury, wietrzny pagórkowaty krajobraz, a podwójny umysł obserwował pomniejszone przez odległość postaci, wspinające się na skały, szukające najmniejszego śladu.

– Cholernie dużo nam to teraz da – stwierdził Laird. – Poza tym, wiesz przecież, że mogę słyszeć co myślisz, i pamiętam także twoje ostatnie myśli. Sol, czy Janya, dla ciebie to wszystko jedno. Skąd mogę wiedzieć, czy grasz wspólnie ze mną?

Odpowiedź była natychmiastowa, ale ponura i pełna nieprzyjemnego śmiechu.

– Przecież... czytasz moje myśli, Laird! Czy nie są to czasami również i twoje myśli?

Potem, bardziej rozsądnie:

– Najwidoczniej historia ponownie się powtarza. Mówię o buncie barbarzyńców, przeciwko macierzystej planecie, chociaż na mniejszą skalę i przy niższym rozwoju nauki. Nie wydaje mi się, że skutek dla cywilizacji miałby być mniej fatalny, niż wcześniej. A ja, być może będę w stanie udzielić bardziej efektywnej pomocy, niż wtedy.

Leżenie tutaj, między opłakiwanymi przez wiatr szczątkami planety, obserwowanie ścigających cię łowców, poruszających się w zimnej poświacie światła księżyca, i doznawanie myśli, które nie należały do ciebie, myśli nad którymi nie miało się żadnej kontroli, było czymś naprawdę upiornym. Laird zacisnął pięści, walcząc o zachowanie równowagi.

– Tak już lepiej – stwierdził sardonicznie umysł Daryesha. – Ale odpręż się. Oddychaj głęboko i powoli, przez najbliższe chwile koncentrując się tylko na oddychaniu... a potem zacznij przeszukiwać mój umysł, który jest także twoim.

– Zamknij się! Zamknij się!

– Niestety, to jest niemożliwe. Przecież wiesz, że znajdujemy się w tym samym mózgu, i będziemy musieli się przyzwyczaić do strumienia świadomości tego drugiego. Odpręż się, człowieku, leż bez ruchu. Przemyśl spokojnie wszystko to, co się stało, i uznaj to, za coś naprawdę cudownego.

Człowiek, jak mówią, jest zwierzęciem świadomym upływu czasu. Ale tylko potężna wola i pragnienie Vwyrdda, pozwoliło mu przekroczyć granice samej śmierci i oczekiwać przez miliony lat na to, że wszystkie sprawy tworzące obecny świat, mogą umrzeć i całkowicie zniknąć z kart historii.

Co to znaczy, osobowość? To nie jest jakaś rzecz, uchwytana i materialna, to pewien wzorzec i proces. Ciało rozpoczyna z pewnym dziedzictwem genetycznym i stawia czoła wszystkim różnorodnym i wielokrotnie występującym złożonym problemom otoczenia. Cały organizm jest zbiorem oddziaływań między tymi dwoma czynnikami. Podstawowy komponent umysłowy, nazywany czasami ego, nie daje się oddzielić od ciała, ale na pewien sposób, może być badany odrębnie.

Naukowcy znaleźli sposób na zachowanie tego czegoś, co było Daryeshem. Kiedy wrogowie szturmowali i walili w bramy Vwyrdda, kiedy cała planeta czekała na ostatnią bitwę i mającą po niej nastąpić ostateczną noc, ludzie nadal spokojnie pracujący w laboratoriach zbudowali skaner molekularny, pozwalający na zapisanie w elektronowej strukturze pewnych kryształów, wzorca synaptycznego, określającego całą pamięć, zwyczaje, refleks, instynkty i całe spektrum ego. Wykorzystali wzorzec Daryesha i nikogo innego, ponieważ tylko on z żyjących jeszcze Nieśmiertelnych, na to się zgodził. Kto inny chciałby, aby wzorzec jego ja, został powielony całe wieki po tym, kiedy on sam będzie już martwy. Wieki po tym, kiedy cały świat, historia, wszystko co się liczy, zostanie utracone? Ale Daryesh zawsze był nieco lekkomyślny, zaś od śmierci Ilorny nie dbał specjalnie o to, co się z nim stanie.

Ilorna, Ilorna! Laird widział jej niezapomniany obraz, formujący się w jego pamięci, złotooka, roześmiana, z długimi ciemnymi włosami opływającymi jej piękne gibkie ciało. Pamiętał dźwięk jej głosu, słodkość jej warg i nadal ją kochał. Minął milion lat, a ona była już tylko pyłem unoszonym przez nocny wiatr, ale on ją kochał, tą częścią swojej duszy, która była Daryeshem i znacznie więcej niż tylko niewielką częścią tej należącej do Johna Lairda... Och, Ilorna...

Sam człowiek, Daryesh musiał zginąć, umrzeć razem ze swoją planetą, ale kryształowy wzorzec, który stanowił zapis ego Daryesha, spoczywał w zbudowanym specjalnie skarbcu, w otoczeniu innych najwspanialszych dzieł Vwyrdda. Wcześniej czy później, kiedyś w nieskończonej przyszłości wszechświata, ktoś się do niego dostanie. Ktoś lub coś, założy hełm na głowę, a następnie go aktywuje. A wtedy zapisany wzorzec miał zostać reprodukowany na neurony, umysł Daryesha miał żyć ponownie, i mógłby opowiedzieć o martwych Vwyrdda, szukać sposobu na odnowienie tradycji pięćdziesięciu milionów lat. Byłaby to ostatnia wola Vwyrdda, sięgająca poprzez czas... Ale Vwyrdda są *martwi*, szaleńczo pomyślał Laird. Vwyrdda przeminęli... to jest zupełnie nowa historia. Nie twoją sprawą jest, mówienie nam, co mamy zrobić!

Odpowiedź była zimna i pełna arogancji.

– Będę robił to, co uznam za stosowne. W międzyczasie, radzę ci, żebyś leżał spokojnie i nie próbował mi przeszkadzać.

– Wypchaj się, Daryesh! – W odpowiedzi wyrwało się z ust Lairda warknięcie. – Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić, a już z pewnością nie, jakiś zakichany duch.

Nadeszła perswazja:

– W tej chwili, żaden z nas nie ma zbyt wielkiego wyboru. Ścigają nas, i jeżeli mają urządzenia do tropienia energii -- tak, widzę że mają -- znajdą nas już choćby dzięki promieniowaniu termicznemu tego ciała. Lepiej poddać się w sposób pokojowy. Kiedy znajdziemy się na pokładzie statku, wypełnionego całą potęgą Vwyrdda, wtedy powinna nadarzyć się dla nas jakaś szansa.

Laird leżał cicho, obserwując jak ścigający coraz bardziej się do nich zbliżają, i poczucie porażki opadło na niego, jakby świat mu się zawalił. Co jeszcze mógł zrobić? Jaką inną szansę, można by w tej sytuacji jeszcze znaleźć?

– No dobrze – powiedział w końcu, na głos. – No dobrze. Ale będę obserwować każdą twoją myśl, zrozumiałeś? Nie sądzę, abyś był w stanie powstrzymać mnie przed popełnieniem samobójstwa, jeżeli będę musiał to zrobić.

– A mnie się wydaje, że mógłbym to zrobić. Ale przeciwstawne sygnały dla ciała, spowodowałyby tylko wzajemną neutralizację, pozostawiając je w stanie beznadziejnej walki z samym sobą. Spokojnie, Laird. Wycofaj się i pozwól mi załatwić tę sprawę. Jestem Daryesh, wojownik, i nieraz już toczyłem trudniejsze bitwy niż ta.

Podnieśli się i zaczęli schodzić po stoku wzgórza, trzymając ręce wysoko uniesione ponad głową. Dobiegła go jeszcze myśl Daryesha:

– No i... jest jeszcze przecież, ta interesująca wyglądająca kobieta, która dowodzi okrętem. To może być nawet interesujące!

Jego śmiech rozebrzmiał pod nisko zawieszonym księżycem, i nie był to śmiech istoty ludzkiej.

– **N**ie potrafię pana zrozumieć, Johnie Laird – stwierdziła Joana.

– Czasami – odparł Daryesh lekkim tonem – ja sam nie potrafię za dobrze siebie zrozumieć... a co dopiero pani, moja droga.

Usztywniła się lekko.

– Wystarczy już, panie poruczniku. Proszę pamiętać o swojej obecnej pozycji.

– Och, do diabła z naszymi rangami i krajami. Dla odmiany spróbujmy traktować się, jak żyjące istoty.

Jej spojrzenie przybrało żartobliwy wyraz.

– To takie dziwne, kiedy mówi to Solman.

Daryesh zaklął w myślach. Do diabła z tym ciałem! Siła, kiepska koordynacja i percepcja, brakowało w nim połowy znanych mu zmysłów. Całościowa struktura mózgu nie była w stanie przechować potęgi rozumowania, kiedyś przez niego posiadanej. Jego myśli były przytłumione i ospałe. Popełniał błędy, jakich dawny Daryesh nigdy by nie zrobił. A ta młoda kobieta była na tyle szybka, że potrafiła je wychwycić.

Był jeńcem śmiertelnych wrogów Johna Lairda, a umysł samego Lairda był mocno wplątany w jego myśli i pamięć, gotów do podjęcia z nim gwałtownej walki, na najlżejszą oznakę tego, że...

Ego Solarianina, złośliwie zachichotało. Spokojnie, Daryesh, spokojnie!

Zamknij się! Odwarknął w odpowiedzi jego umysł, i ze zgrozą zdał sobie sprawę, że za tę dziecinnie emocjonalną reakcję, winę ponosi jego własny, wyszkolony przecież, system nerwowy.

– No cóż, równie dobrze mogę od razu powiedzieć pani prawdę, pani kapitan – oświadczył na głos. Ja wcale nie jestem Laird. A przynajmniej już nie.

Nic nie odpowiedziała, tylko powieki opadły jej na oczy i odchyliła się do tyłu na swoim krześle. Zauważył mimochodem jak długie miała rzęsy – albo może pomyślał to z uznaniem umysł Lairda, pobudzony zbyt silnymi wspomnieniami Ilorny?

Siedzieli sami, tylko we dwoje, w jej małej kajucie, na pokładzie janyardzkiego krążownika. Przed wejściem stał wartownik, ale same drzwi były zamknięte. Od czasu do czasu dolatywał do nich stłumiony huk uderzenia, albo brzęknięcie, wywołane przez ciężkie maszyny Vwyrdda, które wciągane były właśnie na pokład statku. Gdyby nie te hałasy, mogliby pomyśleć, że są parą ostatnich istot żywych, na tej pokrytej bliznami, starej planecie.

Pomieszczenie umeblowane było w surowy sposób, ale tu i ówdzie widać było dotknięcie kobiecej ręki -- zasłony, mała doniczka z kwiatami, bardziej formalna suknia wisząca w na wpół otwartej szafie. Zaś kobieta siedząca naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka, była bardzo piękna, ze swoimi rozpuszczonymi rudymi włosami, spływającymi jej na ramiona i wspinałymi oczyma, których nawet na chwilę nie odrywała od niego. Ale jedna ze smukłych dłoni, przez cały czas spoczywała na pistolecie.

Oświadczyła mu szczerze.

– Chciałam pomówić z panem na osobności. Jest coś, czego nie rozumiem.... ale na pierwsze podejrzenie jakiegoś niewłaściwego ruchu, będę do pana strzelać. A nawet, gdyby udało się panu jakoś mnie sterroryzować, to przekonałby się pan, że nie jestem dobrym materiałem na zakładnika. Wszyscy tutaj jesteśmy Janyardami, a dla nas statek znaczy więcej niż życie dowolnej pojedynczej osoby.

Teraz to ona czekała na niego, aż zacznie mówić.

Wziął sobie papierosa ze stojącego na jej biurku pudełka -- znowu jeden z nawyków Liarda -- zapalił go i wciągnął do płuc długi, powolny haust dymu. *W porządku, Daryesh, idź dalej. Wydaje mi się, że twój pomysł jest dobry, jeżeli w ogóle można w tej sytuacji zrobić coś, co da dobre wyniki. Ale ja przez cały czas słucham, pamiętaj.*

– Jestem wszystkim, co pozostało z tej planety – powiedział bezbarwnym głosem. – Jestem osobowością Daryesha z Tollogh, Nieśmiertelnego Vwyrddy, i w pewnym sensie, umarłem milion lat temu.

Siedziała spokojnie, ale widział, że jej dłonie zaciskają się i usłyszał krótkie ostre syknięcie, wciąganego przez zęby oddechu.

Potem pokrótce wytłumaczył, jak zachowany został jego wzorec umysłu i w jaki sposób wprowadzony został później, do mózgu Johna Lairda.

– Chyba pan nie oczekuje, że uwierzę w taką historyjkę – pogardliwie stwierdziła.

– Czy ma pani na pokładzie wykrywacz kłamstw?

– Mam egzemplarz nawet w swojej kabinie, i sama potrafię go obsługiwać.

Wstała i wyciągnęła maszynę z jednej ze szafek. Przyglądał się jej, zauważając grację jej ruchów. Umarłaś już tak dawno temu, Ilorno... Umarłaś i w całym wszechświecie już nigdy nie będzie kobiety takiej jak ty. Ale życie musi toczyć się dalej, a ona w pewien sposób przypomina mi ciebie.

Było to czarne, niewielkie urządzenie, które szumiało i świeciło, leżąc między nimi na biurku. Nałożył sobie na głowę metalowy czepek i chwycił rękoma za dwie gałki, czekając potem aż pani kapitan dostroi układy sterujące. Ze wspomnień Lairda przypominał sobie zasadę działania urządzenia: pomiar aktywności różnych ośrodków mózgowych, oraz precyzyjna detekcja niewielkich dodatkowych przepływów energii w wyższych warstwach kory mózgowej, w celu wykrycia fałszu.

– Muszę go skalibrować – powiedziała. – Proszę pomyśleć coś, co będę wiedziała, że jest kłamstwem.

– Nowy Egipt ma pierścienie – uśmiechnął się, – które zbudowane są z sera limburskiego, pomimo że główna planeta stworzona jest z przepysznego Camemberta...

– To wystarczy. A teraz proszę powtórzyć wszystkie pańskie poprzednie stwierdzenia.

Odpręż się, Laird, do diabła... wycisz się! Nie mogę kontrolować tego urządzenia, kiedy ty mi przez cały czas przeszkadzasz.

Ponownie opowiedział całą swoją historię, pewnym tonem, a w międzyczasie pracował nad mózgiem Lairda, zdobywając jego wyczucie, stosując metody kontroli nerwowej, które były jądrem jego wvyrddańskiego wykształcenia. Z pewnością ogłupienie tego prostego elektronicznego gadżetu, było możliwe bez większego trudu, na przykład poprzez podwyższenie aktywności mózgowej we wszystkich ośrodkach, do takiego stopnia, że dodatkowy wysiłek jego komórek kreatywnych, był niemożliwy do spostrzeżenia.

Kontynuował bez śladu wahania, zastanawiając się, czy w następnej chwili nie zdradzą go skaczące wskazówki przyrządu, oraz czy jej pistolet nie plunie wtedy śmiercią, prosto mu w serce.

– Naturalnie, osobowość Lairda została kompletnie utracona, jego ustalone wzorce mentalne są obecnie całkowicie wymazane, poprzez nałożenie moich własnych. Mam dostęp do jego wspomnień, ale poza tym, jestem Daryshem z ludu Vvyrdda, do pani usług.

Przygryzła wargi.

– Ładne mi usługi! Zastrzelił pan czterech moich ludzi.

– Kobieto, niech pani weźmie pod uwagę moją sytuację. W jednej chwili, powróciłem do aktywnego istnienia. Pamiętam, że siedziałem sobie w laboratorium, pod skanerem, lekki zawrót głowy, a następnie, natychmiast, znalazłem się w ciele obcego. Jego system nerwowy był oszołomiony przez szok spowodowany moim wtargnięciem, nie byłem w stanie jasno myśleć. Wszystko co miałem, jako wskazówkę odnośnie dalszego sposobu postępowania, to zapamiętane przekonanie Lairda, że podążają za mną śmiertelni wrogowie, mordercze stworzenia, które zamierzają mnie zabić i zniszczyć doszczętnie moją planetę. Działalem na wpół instynktownie. Wszystko, czego chciałem, w mojej własnej osobowości, to wydostać się na wolność, uciec gdzieś i przemyśleć całą tę sprawę samemu. I tak zrobiłem. Jest mi żal z powodu śmierci pani ludzi, ale myślę, że zostanie ona bardzo poważnie skompensowana.

– Hmm... ale pomimo wszystko, poddał się pan, kiedy już mieliśmy pana schwytać.

– Tak, oczywiście, ale zdecydowałem się na to niezależnie od rozwoju sytuacji. – Jej spojrzenie nawet na chwilę nie unosiło się z nieustannie drgających wskazówek przyrządu. – Pomimo wszystko byłem na obstawionym przez was terenie, z małymi albo nawet żadnymi, nadziejami na wyrwanie się pościgowi. Ponadto jesteście wygrywającą stroną tej wojny, co dla mnie osobiście nic nie znaczy, pod względem emocjonalnym. Jak do tej pory nie mam żadnych uprzedzeń w tej sprawie, a przy tym uważam, że rasie ludzkiej najlepiej będzie służyć właśnie zwycięstwo Janyard. Historia już niejednokrotnie pokazała, że kiedy społeczności pograniczne -- które stare imperia nazywały barbarzyńskimi, a które w rzeczywistości są nowymi i lepiej przystosowanymi cywilizacjami -- kiedy pokonają one już te starsze i bardziej konserwatywne kultury, skutkiem jest synteza i okres niezwyklej osiągnięć.

Widział, jak kapitan Rostov widocznie się odprężył i uśmiechnął się w duchu. To było takie proste, takie łatwe. Oni byli jak kilkunastoletnie dzieci. Jedyne co musiał zrobić, to zmontować dla niej gładkie kłamstwo, pasujące do obowiązującej linii propagandy, stanowiącej jej środowisko umysłowe od samego urodzenia, i w efekcie tego, nie była w stanie poważnie myśleć o nim, jako o wrogu.

Niebieskookie spojrzenie uniosło się do poziomu jego oczu, a jej wargi lekko się rozdzieliły.

– Czy pomoże nam pan? – wyszeptała Joana.

Daryesh skinął głową.

– Znam zasady działania, konstrukcję oraz sposób użycia tych maszyn, a prawdą jest, że drzemiące w nich moce mogą topić całe planety. Wasi naukowcy nigdy by nie odkryli nawet połowy tego wszystkiego, co tam można znaleźć. – Wzruszył ramionami. – Naturalnie będę oczekiwał współmiernej nagrody. Ale nawet z altruistycznego punktu widzenia, te maszyny powinny pozostawać pod nadzorem osoby, która rozumie ich działanie, i z powodu swojej ignorancji nie popełni jakiegoś błędu. To mogłoby doprowadzić do niewyobrażalnych katastrof.

Nagle kapitan Rostov uniosła trzymany w dłoni pistolet i wepchnęła go do kabury. Wstała, uśmiechnięta i wyciągnęła do niego rękę.

Uściskał energicznie wyciągniętą dłoń, a następnie pochylił się i ucałował ją szarmancko w rękę. Kiedy uniósł wzrok, stała niepewnie, na wpół pełna obawy, na wpół zadowolona.

To jest nie fair! protestował Laird. Ta biedna dziewczyna nigdy nie spotkała się z tego rodzaju traktowaniem. Nigdy nawet nie słyszała o flircie, czy też kokieterii. Dla niej miłość nie jest jakąś grą towarzyską, lecz czymś tajemniczym, poważnym i przyzwoitym...

Mówiłem ci już przecież, żebyś się zamknął, zimno odpowiedział mu Daryesh. Posłuchaj, człowieku, nawet jeżeli dostaniemy ten oficjalnie bezpieczny przelot, to ten statek ciągle jest pełen czujnych wrogów. Musimy umocnić naszą pozycję wszystkimi środkami, jakie mamy do dyspozycji. A teraz uspokój się i baw się całą tą sytuacją.

Obszedł biurko dookoła i znowu chwycił ją za dłoń.

– Wiesz – powiedział, a krzywy uśmiezek na ustach przypomniawszy mu, że była to znacznie więcej niż półprawda, – sprawiłaś, że znowu pomyślałem o kobiecie, którą kochałem milion lat temu, na Vwyrdda.

Lekko odsunęła się do tyłu.

– Nie mogę tego przezwyciężyć – wyszeptała. – Jesteś... Jesteś stary i w ogóle nie należysz do tego cyklu czasu, a to co musisz myśleć i wiedzieć, powoduje że czuję się przy tobie jak dziecko... Daryesh, to mnie przeraża.

– Nie pozwól, aby to stanęło między nami, Joano – odparł łagodnie. – Mój umysł jest młody, i jestem bardzo samotny. – Dodał trochę smutku do swojego głosu. – Joano, potrzebuję kogoś, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest obudzić się milion lat po tym, jak umarł cały twój świat, będąc bardziej samotnym niż... och, pozwól mi tylko, abym od czasu do czasu mógł do ciebie na chwilę przyjść, abyśmy mogli porozmawiać jak przyjaciel z przyjacielem. Pozwól mi na chwilę zapomnienia o czasie, śmierci i samotności. Potrzebuję kogoś takiego, jak ty.

Spuściła oczy i odparła z nieustępliwą uczciwością:

– Myślę, że to byłoby za dużo, Daryesh. Wiesz przecież, że kapitan statku, nie może mieć przyjaciół. Postawili mnie na tym stanowisku, ponieważ jestem w tym dobra, i ono jest wszystkim, co kiedykolwiek miałam. Och, niech to komety! – Zmusiła się do śmiechu. – Do kosmosu z tym całym uzalaniem się nad sobą. Z pewnością możesz do mnie przychodzić, kiedy tylko będziesz miał na to ochotę. Mam nadzieję, że będzie to dosyć często.

Rozmawiali jeszcze trochę dłużej, i kiedy pocałował ją na dobranoc, była to najnormalniejsza rzecz we wszechświecie. Powędrował, z przyjemną mgiełką w głowie, do swojej koi, przeniesionej w międzyczasie z celi w areszcie do małego, niewykorzystywanego przedziału.

Leżąc w ciemności, na nowo rozpoczął w milczeniu, dyskusję z Lairdem.

– I co teraz? – dopytywał się Solarianin.

– Rozgrywamy to powoli i pewnie – cierpliwie odpowiedział mu Daryesh -- tak jakby ten głupiec nie mógł sobie tego wyczytać bezpośrednio, z ich wspólnego mózgu. – Wypatrujemy naszej szansy, ale na razie jeszcze nic nie robimy. Pot pretekstem przygotowania do pracy projektorów energii, stworzymy urządzenie, które będzie w stanie zniszczyć statek za jednym naciśnięciem przycisku. Oni nie będą o tym wiedzieli. Nie podejrzewają nawet istnienia czegoś takiego, jak przepływy podprzestrzenne. Potem, kiedy pojawi się możliwość ucieczki, naciśniemy ten przycisk, uciekniemy stąd i spróbujemy wrócić do układu Sol. Wykorzystując moją wiedzę na temat Vwyrddańskiej nauki, będziemy mogli odwrócić losy wojny. To ryzykowne przedsięwzięcie... z pewnością... ale to jedyna szansa, jaką dostrzegam. Ale, na miłość Boską, pozwól, że to ja będę prowadził tę sprawę. Ty masz być nadal uznawany za martwego.

– A co zrobimy, kiedy w końcu już to wszystko zrealizujemy? W jaki sposób będę mógł się ciebie pozbyć?

– Szczerze mówiąc, nie widzę żadnego sposobu na to, aby to zrobić. Nasze wzorce stały się za bardzo splątane między sobą. Skanery z definicji działają na całym systemie nerwowym. Po prostu musimy nauczyć się, jak razem żyć. – Dodał jeszcze tonem perswazji: – To przyniesie ci mnóstwo korzyści. Pomyśl tylko, człowieku! Będziemy mogli zrobić z Sol wszystko, na co tylko będziemy mieli ochotę. Z całą Galaktyką. Zbuduję zbiornik hodowlany i stworzę dla nas nowe ciało, do którego będziemy mogli przenieść nasz wzorzec. Ciało, umożliwiające rozwinięcie całości inteligencji i zdolności Vwyrdda. Uczynię je nieśmiertelnym. Człowieku, nigdy nie umrzesz!

To nie była specjalnie pocieszająca perspektywa, pomyślał sceptycznie Laird. Szanse zdominowania przez niego tego rodzaju kombinacji były raczej niewielkie. Z czasem jego własna osobowość, mogłaby zostać całkowicie wchłonięta przez silniejszy umysł Daryesha.

Oczywiście... psychiatria... narkoza... hipnoza...

– Nie, nie zrobisz tego – ponuro stwierdził Daryesh. – Jestem tak samo czuły na punkcie bezpieczeństwa mojej osobowości, jak ty na punkcie swojej.

Należące do nich obydwu usta, wykrzywiły się w ciemności, w kwaśnym grymasie.

– Myślę, że po prostu będziemy musieli nauczyć się nawzajem kochać – pomyślał Laird.

Ciało zapadło w drzemkę. Wkrótce komórki nerwowe Lairda zasnęły na dobre, a jego osobowość zatonąła w cienistej krainie snów. Daryesh czuwał parę chwil dłużej. Sen -- strata czasu -- Nieśmiertelnych nigdy nie dotykało zmęczenie. Zachichotał sam do siebie. Jakąż to misterną sieć kłamstw i kontrkłamstw utkał. Gdyby tylko Joana i Laird, o tym wiedzieli ...

Umysł, jest skomplikowanym układem. Może ukrywać pewne fakty przed sobą samym, zmusić się do zapomnienia tego, co jest dla niego zbyt bolesne, aby o tym pamiętać, przekonać swoje wyższe komponenty, do wszystkiego co jego podświadomość uważa za prawdę. Racjonalizacja, schizofrenia, czy autohipnoza, są tylko eufemistycznymi określeniami dla samooszukiwania się, praktykowanego często przez mózg. Szkolenie Nieśmiertelnych, obejmowało jednak pełną kontrolę nad układem nerwowym. Potrafili oni w świadomy sposób wykorzystywać potencjał ukryty w nich samych. Potrafili przy pomocy aktu świadomej woli zatrzymać pracę serca, zablokować ból albo rozszcześcić swoje własne osobowości.

Daryesh zdawał sobie sprawę z faktu, że jego ego będzie musiało walczyć, niezależnie od osoby, która zostanie jego nosicielem, tak więc poczynił pewne przygotowania, zanim został zeskanowany. Tylko część jego umysłu pozostawała w pełnym kontakcie z Lairdem. Inny jego wątek, wydzielony z głównego strumienia świadomości, poprzez celową i kontrolowaną schizofrenię, snuł własne myśli i tworzył własne plany. Stosując autohipnozę, automatycznie scalał swoje ego, w czasie kiedy Laird był w stanie nieświadomości. Poza nim, między rozszczepionymi jaźniami istniał wyłącznie kontakt podświadomy. W efekcie tego wszystkiego, prawdziwe plany Daryesha, sporządzał prywatny sektor jego umysłu, niedostępny dla Solarianina.

Ten destrukcyjny przycisk będzie musiał zostać zainstalowany, żeby zaspokoić budzącą się osobowość Lairda, pomyślał sobie. Ale nigdy nie zostanie on naciśnięty. Ponieważ to, co powiedział Joanie, było w zasadzie prawdą. Swoje korzyści wiązał raczej z Janyardami i miał zamiar wspierać ich, aż do ostatecznego zwycięstwa.

Czasowe pozbycie się Lairda, powinno być dosyć proste. Można go przekonać, że dla jakichś istotnych powodów, byłoby wskazane, aby upił się do nieprzytomności. Bardziej opanowane ego Daryesha pozostałoby nadal świadome, nawet gdyby Laird kompletnie odpłynął. Wtedy mógłby dokonać wszystkich ustaleń z Joaną, która do tego czasu, powinna być już gotowa zrobić wszystko, czego od niej zażąda.

Psychiatria... tak, pobieżna myśl Lairda, była całkiem trafna. Metody leczenia schizofrenii, po pewnych modyfikacjach, mogły zostać zastosowane do wytłumienia dodatkowej osobowości u Daryesha. Mógłby wyrzucić tego Solarianina... na stałe.

A potem, potrzebne mu było tylko nowe nieśmiertelne ciało, i otworzą się przed nim całe stulecia i tysiąclecia, w czasie których będzie mógł zrobić z tą młodą cywilizacją, wszystko czego tylko zapragnie.

Demon egzorcyzmujący człowieka... Uśmiechnął się sennie. Wkrótce potem już spał.

Statek leciał przez gwiazdną noc, pokonując coraz większą odległość. Czas przestawał mieć znaczenie, stawał się tylko pozycją wskazówek zegara, następstwem okresów snu i posiłków, powolnym

przemieszczaniem się gwiazd w konstelacjach, w miarę połykania kolejnych lat świetlnych.

Dalej i dalej, potężne wibracje napędu drugiego rzędu, wypełniały ich kości, oraz ich dni, okresy pracy, jedzenia, snu i... Joany. Laird zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek się to skończy. Zastanawiał się, czy nie znalazł się może na Latającym Holendrze skazanym na podróż przez wieczność, z zamkniętym w swojej głowie stworem, który go posiadał. W takich chwilach jedynym wytchnieniem były ramiona Joany. Korzystał z jej dzikiej, młodej siły, a on i Daryesh stawali się wtedy jednością. Jednak później...

Zmierzamy, aby przyłączyć się do Wielkiej Floty. Słyszałeś ją przecież, Daryesh. Ona odbywa tryumfalną pielgrzymkę, do zebranych razem wszystkich sił Janya, składając u stóp swojemu admirałowi, niewyciężoną broń Vwyrdda.

A dlaczego nie? Ona jest młoda i ambitna. Pożąda chwały tak samo, jak i ty. I co z tego?

Musimy uciec zanim tam dotrze. Musimy ukraść szalupę ratunkową, a potem zniszczyć ten statek i wszystko co jest na pokładzie, i to jak najszybciej.

Wszystko, co jest na pokładzie? A więc także i Joannę Rostov?

Do diabła, porwiemy ją, czy coś podobnego. Dobrze wiesz, że zakochałem się w tej dziewczynie, ty diable. Ale tutaj chodzi o całą Ziemię. Ten jeden krążownik ma teraz na pokładzie tyle broni, że sam mógłby zniszczyć tę planetę. Mam tam rodziców, braci, przyjaciół... całą cywilizację. Musimy zacząć działać.

Już dobrze, dobrze, Laird. Tylko wyluzuj trochę. Najpierw musimy zainstalować te urządzenia energetyczne. Trzeba będzie urządzić im wystarczająco ciekawą demonstrację, aby uśpić ich podejrzliwość. Joanna jest tutaj, na pokładzie, jedyną osobą, która nam ufa. W przeciwieństwie do wszystkich swoich oficerów.

Ciało i podwójny umysł, pracowało przez szereg powoli mijających dni, kierując janyrdzkimi technikami, którzy nie byli w stanie zrozumieć, co takiego budują. Laird, czerpiąc informacje z pamięci Daryesha, zdawał sobie jednak sprawę z tego, jaki gigant drzemie w tych uzwojeniach, lampach i niewidocznych polach energetycznych. Znajdujące się w nich moce, potrafiły pochwycić potężne siły sprawcze wszechświata, i obrócić je w czystą destrukcję -- zaburzenia czasoprzestrzeni, atomy rozpraszające się w postaci czystej energii, drgania zakłócające stabilność pól sił, utrzymujących porządek kosmosu. Laird przypomniał sobie zniszczenia na Vwyrdda, i wzdrygnął się.

Udało im się zamontować projektor i doprowadzić do stanu funkcjonalności, a więc Daryesh zasugerował Joannie, aby krążownik zatrzymał się gdzieś, gdzie mógłby dowieść prawdziwości swoich słów. Wybrali jałową planetę w niezamieszkałym układzie gwiazdnym i weszli na orbitę pięćdziesiąt tysięcy mil ponad nią. W ciągu jednej godziny, Daryesh obrócił widoczną się pod nimi półkulę, w ogromne morze lawy.

– Gdybym skorzystał z dys-pól – oświadczył obojętnym głosem, – mógłbym dla ciebie porozrywać tę planetę na kawałki.

Laird widział wokół siebie blade, pełne napięcia twarze. Na wszystkich czołach perlił się pot, a paru ludzi wyglądało jakby mieli zaraz dostać mdłości. Joana aż tak zapomniała o swojej pozycji, że drżąca wpadła w jego ramiona.

Ale twarz, jaką pokazała po kilku chwilach, była rozradowana i pełna entuzjazmu, przesiąknięta bezmyślnym okrucieństwem nurkującego jastrzębia.

– Panowie! To jest koniec Ziemi!

– Nic, co mają nie jest w stanie nas zatrzymać! – wymruczał jej pierwszy oficer w oszołomieniu. – Przecież wystarczy aby ten jeden statek, chroniony przy pomocy któregoś z tych ekranów, opartych na odkształceniach przestrzennych, o których pan nam mówił, sir... Tylko ten jeden mały statek, mógłby polecieć i obrócić w ruinę cały Układ Słoneczny.

Daryesh skinął głową. To było całkowicie możliwe. Nie potrzeba było do tego znacznych ilości energii, ponieważ generatory Vwyrdda, służyły jedynie jako katalizatory uwalniające znacznie większe moce. A Sol nie miało żadnych środków defensywnych, wytworzonych przez naukę, które mogłyby im pomóc odeprzeć takie siły choćby przez chwilę. Tak, można było tego dokonać.

Zesztywniał, uderzony nagłą gwałtowną myślą Lairda: To właśnie to, Daryesh! Oto jest odpowiedź.

Strumień myśli należał również do niego, przepływając przez ten sam mózg, i rzeczywiście, to było proste. Mogli mieć cały statek uzbrojony i opancerzony tak silnie, że pozostawałby poza zasięgiem Janya. A ponieważ żaden ze znajdujących się na pokładzie inżynierów nie rozumiał zasad działania tych maszyn, i ponieważ obecnie ufano im całkowicie, mogli zainstalować zrobotyzowane urządzenia sterujące, tak by nikt inny o tym nie wiedział.

Potem... ogromna masa Wielkiej Floty Janyi... przerwienie głównego przełącznika... wewnątrz krążownika zaleje masa zabójczej dla ludzi energii, i na pokładzie zostaną tylko ciała. Martwi ludzie i roboty. Roboty, które otworzą ogień do Janyardów. Ten jeden statek mógłby zniszczyć wszelkie nadzieje barbarzyńców, jednym uderzeniem niewiarygodnego ognia. A roboty mogłyby zostać ustawione tak, aby potem zniszczyć sam statek, nie dając najmniejszej szansy pozostałym przy życiu Janyardom, na dostanie się na jego pokład.

A my... my moglibyśmy uciec podczas początkowego zamieszania, Daryesh. Możemy wydać robotom rozkaz, aby oszczędziły gig kapitański, a potem zabrać na niego Joanę i polecieć nim na Sol! Nie będzie nikogo, kto mógłby nas ścigać!

Powoli, myśl Vwyrddanina przyniosła odpowiedź: Dobry plan. Tak, śmiało uderzenie. Zadamy je!

– O co chodzi, Daryesh? – W głosie Joany nagle pojawił się niepokój. – Wyglądasz...

– Zamyśliłem się tylko, to wszystko. Nie myśl za dużo pani kapitan Rostov. To szkodzi mózgowi.

Potem, kiedy ją całował, Laird poczuł się chory na myśl o zdradzie, którą przeciwko niej planował. Jej przyjaciele, jej planeta, jej cały świat -- zniszczone do cna, jednym miażdżącym ciosem, a to on miał go zadać. Zastanawiał się, czy po tym, jak już to wszystko się zakończy, kiedykolwiek jeszcze będzie chciała z nim rozmawiać.

Daryesh, pozbawiony serca diabeł, zdawał się w całej tej sytuacji, znajdować tylko sardoniczne rozbawienie.

A później, kiedy Laird zasnął, Daryesh pomyślał sobie, że plan młodego człowieka jest naprawdę dobry. Z pewnością mógł się na niego zgodzić. Dało to Lairdowi zajęcie, do czasu kiedy nie znajdą się w punkcie spotkania z Wielką Flotą. A wtedy, będzie już za późno. Zwycięstwo Janyardów będzie zapewnione. Wszystko co on, Daryesh musiał zrobić to, kiedy nadejdzie właściwa chwila, utrzymać go z dala od głównego przełącznika. Jeżeli Laird będzie próbował do niego dotrzeć, starcie ich przeciwnych woli, da w efekcie wzajemne ich zniesienie -- co oznaczało zwycięstwo Janya.

Podobała mu się ta nowa cywilizacja. Miała w sobie jakąś świeżość, wigor i nadzieję, których nie potrafił znaleźć we wspomnieniach Lairda na temat Ziemi. Miała również zdroworozsądkową rzeczowość, która mogła pozwolić daleko jej zajść. A ponieważ Yanyardowie byli młodzi i elastyczni, powinni być podatni na naciski psychologiczne i siłowe, jakie zdecyduje się zastosować.

Vwyrdda, zaszeptał jego umysł. Vwyrdda, uczynimy ich na wasz obraz. Znowu będziecie żyli!

Wielka Flota!

Milion wielkich okrętów i ich jednostek wsparcia unosiło się w uporządkowanym szyku, wokół ciemnej gwiazdy czerwonego karła. Cała flota nieprzyjaciela, zebrana razem i krążąca po jednej potężnej orbicie. Na tle rozżarzonej bieli gwiazd i czerni odwiecznych głębin kosmosu, opancerzone burty statków połyskiwały jak płomyki. Widać było je tak daleko, jak okiem sięgnąć, okręt za okrętem, rząd za rządem. Tytaniczne rekiny pływające w przestrzeni -- działa, pancerze, torpedy, bomby i masy ludzi, zdolnych do zniszczenia planety i położenia końca życiu cywilizacji. Cała ta panorama była zbyt duża, wyobraźnia nie była w stanie wypełnić pustych miejsc i luk, a ludzki umysł odnosił jedynie oszałamiające wrażenie ogromu, jakiego nie dawało się ogarnąć wzrokiem.

To był właśnie ten olbrzymi grot włóczni Janya, jaśniejąca lanca, wycelowana aby przebić się przez cienkie linie obronne Sol i z rykiem rzucić się z nieba, jak piekielny deszcz, na ziemie imperium. Oni naprawdę nie są już chyba ludźmi, pomyślał Laird z atakiem mdłości. Kosmos i obcość zmieniły ich za bardzo. Nie, żadna istota ludzka, nie byłaby w

stanie nawet pomyśleć o zniszczeniu Domu Człowieka. A potem, gwałtownie: No dobrze, Daryesh. Oto mamy naszą szansę!

Jeszcze nie, Laird. Zaczekaj jeszcze chwilę. Poczekaj dopóki nie będziemy mieli jakiejś uzasadnionej wymówki dla opuszczenia statku.

No dobrze, chodź więc ze mną na górę do sterowni. Wolę być gdzieś blisko tego przełącznika. O Boże, Boże, wszystko co jest ważne dla Ludzkości i dla mnie, zależy teraz tylko od nas!

Daryesh zgodził się z lekką niechęcią, która nieco zaintrygowała tę część jego umysłu, która była otwarta dla Lairda. Druga połowa, przycupnęła czujnie, głęboko schowana w podświadomości Vwyrddanina, wiedział jaki był tego powód: Czekala na posthipnotyczny sygnał, kluczowe zdarzenie, które powinno uruchomić proces jej przejścia do wyższych centrów mózgowych.

Statek miał wygląd przebudowywanego i niedokończonego, pokrytego bezładną plataniną wyposażenia. Całe jego konwencjonalne uzbrojenie zostało wyprute, a na jego miejsce zainstalowano maszyny Vwyrdda. Zrobotyzowany mózg, który z powodu złożoności, można było traktować jako na wpół żywy, był obecnie na pokładzie okrętu, jednocześnie artylerzystą, pilotem i dowodzącym czynnikiem inteligentnym, a tylko jednego człowiek o podwójnym umyśle wiedział, jakie rozkazy, naprawdę mu wydano. *Kiedy załączony zostanie główny przełącznik, zalejesz statek dziesięcioma jednostkami promieniowania dysrupcyjnego. Potem, kiedy kapitański gig znajdzie się w dostatecznie dużej odległości, zniszczysz tę flotę, oszczędzając tylko tę jedną łódź. Kiedy w zasięgu nie będzie już żadnych okrętów w stanie nadającym się do użycia, aktywizujesz dezintegratory i rozłożysz cały ten statek i jego zawartość, na energię podstawową.*

Z pewnego rodzaju niezdrową fascynacją, Laird przyglądał się temu przełącznikowi. Zwykła, dwupołożeniowa dźwignia... Boże kosmosu, czy to mogło być możliwe, czy to było logiczne, że cała historia cywilizacji, zależy od kąta, pod jakim ten przełącznik ustawiony jest względem panelu sterowniczego? Oderwał wzrok od urządzenia i popatrzył w kosmos, na rojące się tam statki i jeszcze większe grono gwiazd. Drżącymi rękoma zapalił papierosa, a następnie zaczął krążyć dookoła, denerwując się i czekając.

Przyszła do niego Joana, z dwoma marynarzami, maszerującymi uroczyście za jej plecami. Jej oczy jaśniały, policzki były rumiane, a obracające się światła lśniły na jej włosach jak roztopiona miedź. Żadna z kobiet, nigdy wcześniej, nie była taka piękna, a on miał zamiar zniszczyć to wszystko, czemu poświęciła swoje życie.

– Daryesh! – W jej głosie tańczył śmiech. – Daryesh, najwyższy admirał, chce się z nami spotkać na swoim statku flagowym. Prawdopodobnie poprosi nas o demonstrację, a potem myślę, że flota natychmiast wystartuje w kierunku Sol, z nami w awangardzie. Daryesh... och, Daryesh, wojna jest już niemal skończona!

Teraz! Buchnęła myśl Lairda, a jego ręka sięgnęła głównego przełącznika. Teraz... swobodnie, niby przypadkowo, z jakąś uwagą, o

konieczności rozgrzania generatorów... a potem na nią, ku jej zaskoczeniu, powalić tych strażników, i dalej do domu!

Ale na ten sygnał umysł Daryesha ponownie się zintegrował i wyciągnięta ręka zastygła w bezruchu...

Nie!

Co? Ale...

Pamięć wytłumionej połowy umysłu Daryesha stanęła otworem dla Lairda i bez trudu odebrał tryumf bijący z całej świadomości Vwyrddanina. Wiedział już, że stoi w obliczu klęski.

W tak prosty sposób, tak okrutnie prosty... Daryesh mógł go zatrzymać, zablokować ciało w konflikcie woli, i to wystarczało do jego zwycięstwa. Ponieważ kiedy Laird spał, kiedy również własne główne ego Daryesha pozostawało nieświadome, wyszkolona podświadomość Vwyrddanina, przejmowała jego funkcje. Napisała ona, w samowytworzonym somnambulizmie, list do Joany, wyjaśniający jej całą sprawę i pozostawiła go w miejscu, gdzie będzie można łatwo go znaleźć, kiedy już zaczną szukać jakichś wyjaśnień dla jego paraliżu. List ponadto polecał, między innymi, aby ciało Daryesha trzymać pod ścisłą kontrolą, w warunkach ograniczonej wolności, dopóki nie zostaną zastosowane pewne specyficzne metody znane vwyrrdańskiej psychiatrii -- narkotyki, fale elektryczne, hipnoza -- pozwalające na wyrugowanie połówki Lairda, z jego własnego umysłu.

Zwycięstwo Janyardów było bliskie.

– Daryesh! – Głos Joany zdawał się dochodzić z jakiegoś niesamowicie odległego miejsca. Jej twarz falowała we mgle i ryku zanikającej świadomości. – Daryesh, co się dzieje? Och mój drogi, co ci jest?

Ponuro Vwyrddanin pomyślał: Poddaj się Laird. Poddaj się mnie, a będziesz mógł zachować swoje ego. Zniszczę ten list. Widzisz, mój cały umysł jest teraz otwarty dla ciebie -- możesz zobaczyć, że tym razem składam ci uczciwą propozycję. Jeżeli będzie to możliwe, wolałbym raczej uniknąć tej całej kuracji, a poza tym jestem ci coś winien. Ale poddaj się teraz, albo zostaniesz wytarty ze swojego mózgu.

Klęska i ruina... a nagrodą za dalszy upór tylko powolna, rozdzierająca śmierć. Laird załamał się, jego myśli stały się zbyt chaotyczne, aby można je czysto odczytać. Nadszedł z jego strony tylko jeden, ponury impuls: Poddaję się. Wygrałeś, Daryesh.

Leżące ciało powoli podniosło się z podłogi. Joana pochyliła się nad nim z niepokojem.

– Och, co się stało, co ci jest?

Daryesh opanował się i odpowiedział z wstrząśniętym uśmiechem.

– To z powodu podekscytowania, chwilowego zresztą. Nie w pełni opanowałem jeszcze ten obcy układ nerwowy. Już ze mną wszystko w porządku. Lepiej chodźmy.

Ręka Lairda wystrzeliła z nienacką i pociągnęła za dźwignię przełącznika.

Daryeshowi wyrwał się z gardła mentalny zwierzęcy ryk, i próbował jeszcze ocalić sytuację, ale ciało załamało się ponownie i upadło, w bezwładzie klinczujących się woli.

Kiedy własne ja Lairda ponownie się zintegrowało, poczuł się jakby wyrwał się z piekła. Ciągłe można było powiedzieć, że to co się stało, stanowiło chyba najmniej możliwy rozwój wypadków. Połowa jego jaźni nadal pozostawała wstrząśnięta klęską, połowa uświadamiała sobie własne zwycięstwo. Pomyślał z dziką gwałtownością:

Nikt z nich nie zauważył, jak to robiłem. Zbyt wiele uwagi zwracali na moją twarz. Albo nawet jeżeli coś spostrzegli, to pokazaliśmy im wcześniej, że to jest tylko nieszkodliwy przełącznik regulatora. A teraz... śmiertelne promieniowanie już nas zalewa! Jeżeli natychmiast nie zaczniesz ze mną współpracować, przytrzymam nas tutaj, dopóki obaj nie będziemy martwi!

W taki prosty sposób, taki prosty. Współdzieląc pamięć Daryesha, Laird dzielił z nim również wiedzę o technikach samooszukiwania się. Przewidział więc, przy pomocy pogrzebanej w podświadomości połowy swojego umysłu, że Vwyrddanin także może spróbować tego rodzaju sztuczki i sam zainstalował sobie podobne posthipnotyczne polecenie. W takiej sytuacji jak ta, kiedy wszystko wyglądało beznadziejnie, jego świadomy umysł miał się poddać, a potem jego podświadomość miała wydać ciało rozkaz, aby pociągnąć za przełącznik.

Współpracuj, Daryesh! Chcesz żyć równie mocno, jak ja. Współpracuj, i do diabła, zabierajmy się stąd!

Niechętnie, kwaśno: Wygrałeś, Laird.

Ciało ponownie się podniosło, oparło się na ramieniu Joany i ruszyło z nią powoli w kierunku śluz dla łodzi. Niewykrywalne promienie śmierci, przepływały przez nich, odkładając w ich ciałach kumulujące się efekty. W ciągu trzech minut, ich system nerwowy zostanie zniszczony.

Za wolno, za wolno.

– Dalej, Joano. Biegnij!

– Dlaczego... – zatrzymała się, a na twarzach idących za nią dwóch ludzi pojawiło się podejrzenie. – Daryesh... o co ci chodzi? Co cię napadło?

– Ma'm... – Jeden z marynarzy zrobił krok naprzód. – Ma'm, tak się zastanawiam... Widziałem jak on pociągnął za dźwignię głównego przełącznika. A teraz strasznie się śpieszy, żeby opuścić okręt. I w dodatku nikt z nas tak naprawdę nie wie, jak działa ta cała maszyna.

Laird wyciągnął broń z kabury Joany i strzelił do niego. Drugi sapnął, sięgając do pasa po swoją broń, ale pistolet Lairda ponownie rozbłysnął.

Natychmiast potem wystrzeliła jego pięść, uderzając Joaną w bok szczęki, i dziewczyna zemdląca. Złapał ją zanim upadła i ruszył biegiem.

W prowadzącym do łodzi korytarzy, stało dwóch marynarzy.

– Co się stało, sir? – spytał jeden z nich.

– Zemdląca... promieniowanie od maszyn... muszę zabrać ją na okręt szpitalny – wydyszał Daryesh.

Rozstąpili się i stanęli z boku, spoglądając ze zdumieniem, a on obrócił zamki wjazdu śluzu i wszedł do gigu.

– Czy mamy z panem lecieć, sir? – spytał jeden z ludzi.

– Nie! – Laird poczuł lekki zawrót głowy. Promieniowanie przepływało przez niego strumieniem, a śmierć nadchodziła gigantycznymi krokami. – Nie...

Walnął pięścią w nachalną twarz, zatrzaskał właz i skoczył do fotela pilota.

Zaszumiały rozgrzewające się silniki. O właz zaczęły walić pięści i stopy. Choroba spowodowała, że zaczął wymiotować.

O, Joano! Jeżeli to cię zabije...

Nacisnął dźwignię głównego napędu. Przyśpieszenie wcisnęło go w oparcie fotela, a gig wystrzelił na wolność.

Wyglądając przez porty, widział jak w kosmosie rozkwitają kwiaty ognia, kiedy wielkie działa Vwyrdda rozpoczęły ostrzał.

Moja szklaneczka była pusta. Zasygnalizowałem na kelnera, prosząc o ponowne jej napełnienie, i siedziałem zastanawiając się tylko w jak bardzo nieprawdopodobne historyjki może uwierzyć człowiek.

– Czytałem trochę książek historycznych – powiedziałem powoli. – Wiem, że jakaś tajemnicza katastrofa zniszczyła zebraną razem flotę Janya, i odwróciła koleje wojny. W ciągu roku Sol okazało się zwycięzcą. Chcesz mi więc powiedzieć, że to twoja zasługa?

– W pewnym sensie. Równie dobrze można powiedzieć, że zrobił to Daryesh. Wiesz przecież, że działaliśmy jako jedna osobowość. On był chodzącym przykładem realizmu, tak więc w chwili kiedy zobaczył klęskę swojego planu, w pełni przerzucił się na drugą stronę.

– Ale, na Boga, człowieku! Dlaczego nic nigdy o tym nie słyszeliśmy! Czy chcesz mi powiedzieć, że nikomu tego nie powiedziałeś? Nigdy nie zbudowałeś ponownie żadnej z tych maszyn? W ogóle nigdy nic nie zrobiłeś?

Ciemna, pobrużdżona twarz Lairda, skrzywiła się w posępnym uśmiechu.

– Oczywiście. Ta cywilizacja nie jest gotowa na takie rzeczy. Nawet Vwyrddowie nie byli, a osiągnięcie ich poziomu zajmie nam jeszcze miliony lat. Poza tym, to było częścią umowy.

– Umowy?

– To chyba również jest oczywiste. Przecież wiesz, że Daryesh i ja musimy nadal żyć razem. Życie w warunkach ciągłych podejrzeń o wzajemne próby oszukania się, w sytuacji gdy nigdy nie można zaufać własnemu mózgowi, byłoby absolutnie nie do zniesienia. Podczas długiej podróży powrotnej w kierunku Sol, doszliśmy do porozumienia i użyliśmy vwyrrdańskich metod autohipnozy, aby upewnić się, że nigdy nie zostanie ono złamane.

Spojrzał ponuro w głąb spowijającej Księżyc nocy.

– Właśnie dlatego powiedziałem, że dżin w butelce mnie zabił. W nieunikniony sposób obie osobowości połączyły się, stały się jedną. A ta jedna, to naturalnie w większości Daryesh, z podtekstami Lairda.

Wzruszył ramionami.

– Och, to nie jest takie znów okropne. Zachowujemy wspomnienia naszych oddzielnych istnień i pewną ciągłość, która jest najbardziej fundamentalnym atrybutem jaźni. Prawdę mówiąc, życie Lairda, było tak ograniczone, tak ślepe na wszelkie możliwości i cuda wszechświata, że niezbyt często go żałuję. Od czasu do czasu, przez parę chwil trafiają mi się jeszcze nostalgiczne momenty i muszę wtedy porozmawiać sobie z człowiekiem. Ale zawsze wybieram kogoś, kto sam nie wie, czy mi uwierzyć, czy nie, i nie będzie w stanie zrobić nic specjalnego z tą sprawą, nawet jeżeli powinien.

– A dlaczego przeszedłeś do Inspekcji? – spytałem go, bardzo delikatnym tonem.

– Chciałem przed zmianą, dokładniej obejrzeć sobie wszechświat. Daryesh chce się trochę porozglądać, zebrać więcej danych, aby mieć dobre podstawy do swoich decyzji. Kiedy przeniesiemy się... przeniosę się... do nowego, nieśmiertelnego ciała, będzie dużo do zrobienia. Przekształcenie galaktyki w nowy i lepszy wzór, przy wykorzystaniu standardów wyyrddańskich! To zajmie całe tysiąclecie, ale będziemy mieli przed sobą tyle czasu, ile tylko będziemy chcieli. Albo zrobnię... a, dajmy temu spokój, o czym to ja mówiłem? – Przesunął ręką po swoich przyprószonych siwizną włosach.

– Częścią umowy ze strony Lairda, było jednak to, że zmiana ma nastąpić w wieku tak bliskim normalnej długości życia człowieka, jak to tylko jest możliwe, kiedy to ciało stanie się już niedogodnie stare. A więc... – Wzruszył ramionami. – A więc, tak to się wszystko ułożyło.

Siedzieliśmy jeszcze razem przez chwilę, niewiele już mówiąc. Potem on wstał.

– Proszę cię o wybaczenie – powiedział. – To moja żona. Dziękuję ci za rozmowę.

Przyglądałem się mu, jak idzie, aby przywitać wysoką, przystojną kobietę, o rudych włosach. Doleciał mnie jego głos:

– Witaj, Joano...

Wyszli razem z sali, w doskonale normalny, ludzki sposób. Zastanawiam się, co ta historia nam jeszcze przyniesie.

KONIEC